№ 24.

Rok 3.

CENA:

w Warszawie:
miesięcznie kop. 15 Złp: 1
w Królestwie i Cesarstwie

pod opaskami
gwartalnie kop. 62. (Złp. 4 gr. 4.) półrocznie rs. 1 kop. 24. (Złp. 8 gr. 8.) rocznie rs. 2 kop. 48. (Złp. 16 gr. 16).
W kopertach półrocznie rsr 1 kop. 70. (Złp. 11 gr. 10) rocznie rs. 3 40, (Złp 22 g. 20).



WARSZAWA
1 (13 Czerwca)
1868 r.

Prenumerować można
Zorzę:
w Warszawie w Redakcji Nr. 24 (nowy) ulica. Nowy-świat. — na prowincji w Królestwie: po Stacjach pocztowych. W Cesarstwie po Stacjach pocztowych lub za zgłoszeniem się listownem do Redakcji w Warszawie. (Nr. 24 ulica Nowy-Swiat) końcową należność można nadsyłać markami pocztowemi.

PISMO NIEDZIELNE
DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

„Czyń każdy w swojem kółku, co każe duch Boży,—A całość sama się złoży."—*Kazimierz Brodziński.*

Opisy Ziemi Swiętéj (*)

IV.

BETLEHEM.

O kilka godzin drogi od Jeruzalem idąc doliną Geban, obok sadzawki Bersabee, dochodzi się do Betlehem, miasta niegdyś w Judei, dziś w Syrji. Leży ono na wysokiéj górze ocienionéj drzewami; wprawdzie ma kilkadziesiąt domów z kamienia, ale wszystkie biedne, nędzne, po większéj części zrujnowane. Kościół Narodzenia Pańskiego należy do najpiękniéjszych na Wschodzie, zbudowany jest w kształcie łacińskiego krzyża, którego wszystkie cztery ramiona zakończone są półkolami. We frontonie jest pięć drzwi, ale środkowe tylko otwarte. Czterdzieści ośm kolumn marmurowych, po dwanaście w rzędzie, dzielą wspaniałą tę budowę na pięć naw. Na ścianach środkowéj nawy spoczywają traby; krokwie rzeźbione wsparte na tychże trabach, utrzymują dach pokryty ołowiem. Mieszkańcy Betlehemu uważają klasztor i kościół za twierdzę, i we wszystkich zajściach z rządem tu wprowadzają żony, dzieci, bydło, wnoszą sprzęty, a sami idą do boju.

Wielki ołtarz Narodzenia Pańskiego należy do Greków, podobnież ołtarz Trzech-Króli z lewéj i ołtarz Obrzezania z prawéj; ołtarze wszystkie bardzo biedne. Niedyś ściany tego Kościoła wyłożone były marmurem, ale go Turcy zabrali do meczetu Omara w Jeruzalem. Tylko ściany i sklepienie przy wielkim ołtarzu ozdobione mozaiką wyobrażającą: Zwiastowanie, Narodzenie, Przedstawienie w Kościele, wjazd do Jeruzalem, Przemienienie i Wniebowstąpienie.—Za przegrodą są dwa wejścia do wielkiéj groty, lewa strona należy do Katolików, prawa do Ormjan i Greków. Sześć stopni prowadzi do drzwi z szarego marmuru, po dziewięciu zstępuje się do saméj groty. Ta święta jaskinia jest 17 kroków długa, 5 szeroka, 4 wysoka,—w niéj naprzeciw wejścia z lewéj strony jest druga malutka pieczara żłobu, która od wschodu, pod samym wielkim ołtarzem kończy się pół okrągłą framugą—miejscem Narodzenia Bożego. Po bokach framugi są dwie kolumny, na nich oparta płyta marmurowa, służąca za mensę

(*) Wyjątek z Pielgrzymki do Ziemi Świętéj. Ignacego Hołowińskiego Arcybiskupa Mohilewskiego.

ołtarza. Pomiędzy temi kolumnami jest ułożona posadzka jaspisowa, (1) na niéj gwiazda srebrna o czternastu promieniach, niegdyś ozdobiona drogiemi kamieniami, z których dziś tylko oprawa została.

O kilka kroków od miejsca Narodzenia jest mała grota zupełnie otwarta; schodzi się do niéj po trzech schodach z białego marmuru. Po prawéj stronie jest żłób święty, który był w téj skale wykuty (jak to jest zwyczajem na Wschodzie), lecz prawdziwy żłób znajduje się w Rzymie, w kaplicy Stéj Marji większéj. Nad żłobem obraz Crystusa Pana, pędzla Jakuba Palmy. Naprzeciw żłobu ołtarz Trzech - Króli. Na sklepieniu gwiazda.

Ściany w wielkiéj i małéj grocie są wyłożone marmurem; w samym końcu groty na przeciw miejsca Narodzenia są drzwi, prowadzące przez korytarz wykuty w skale do ołtarza So Józefa. Tu także znajduje się grota Młodzianków, w któréj kryły się nieszczęśliwe matki z dziećmi, przed siepaczami Heroda.

Z pieczary téj podziemne schody wiodą do kościoła Stéj Katarzyny, czyli raczéj do kaplicy, leżącéj obok wielkiéj świątyni Marji. W kaplicy téj długiéj 30, szerokiéj 12, kroków jest piękny wielki ołtarz, i źródło doskonałéj wody.

(1) *Jaspis* jest to kamień paskowany, różnych kolorów.

Życie w Lasach Brazylijskich.

W południowéj Brazylji w Ameryce, jak wiadomo, znajdują się niemieckie kolonje. Gdy się te kolonje ostatecznie uregulowały i urządziły, naturalnie, że musiały pomyśléć o zawiązaniu pomiędzy sobą stosunków, za pośrednictwem drógi w kraju bezleśnym, dobrze uprawionym i zaludnionym, jak np. w większéj części Europy, rzecz to nader łatwa. Zupełnie się dzieje inaczéj w Brazylji: *poszukiwacz dróg*, pomiędzy niemieckiemi kolonjami południowéj Brazylji, August Wunderwald, sam jeden wycierpiał więcéj aniżeli wszyscy nasi inżenierowie razem wzięci. Oto co pisze o przygodach Wunderwalda niemiecki brazylijski dziennik „Porto alegro“:

Gdy buchnie płomień ogniska, gdy schnie zmoczona odzież, a czysto wymyty garczek zostanie napełniony wodą, i przystawiony do ognia, rozpoczyna się wieczorny spoczynek, tém pożądańszy, im więcéj przecierpiało się trudów w ciągu dnia. Jakże miły i orzeźwiający wietrzyk wieczorny! jak błogo oddychać balsamiczną wonią lasów po zachodzie słońca! Zdala słychać gruchanie dzikich gołębi i innych ptaków leśnych; tysiące owadow świecących, zwabionych blaskiem ognia, szybuje w powietrzu, połyskując swym szmaragdowym blaskiem. Na nieszczęście, wraz z temi świetnemi owadami zjawiają się i inne, nie tak przyjemne, jak np. kłujące moskity i komary, oblegając obozowisko ze wszech stron.

Ale poszukiwacz dróg nie może jeszcze udać się na spoczynek. Gdy nie jeden już z jego towarzyszy oparłszy głowę na tém, co zastępuje mu poduszkę, zaczął chrapać, wydając odgłos podobny do organów, poszukiwacz dróg zapala swą woskową świecę, ustawia naprędce stół, wydobywa książeczkę notatkową, i albo zapisuje przygody i odkrycia ubiegłego dnia, albo kreśli na prędce rysunki. Lecz oto skończył,—dokoła mgła nocna, wszyscy śpią, i on, jak inni głęboko snem zasypia.

Wtém rozlega się szelest, daje się słyszeć jakiś szmer; nasz poszukiwacz dróg, śpiący jak zając z otwartemi oczyma, pierwszy go zauważał. Zrywa się, porywając swą strzelbę, zawsze nabitą, i stojąc w kostjumie, w jakim go Bóg stworzył, dostrzega przy blasku dogasającego ogniska coś poruszającego się w ciemności. Strzela, a wystrzał fuzji, rozlegający się jak grzmot wśród ciszy leśnéj, ogólny sen zamienia w niespokojne poruszenie: każdy się podnosi, porywa nóż lub co jest pod ręką. Powstaje straszny zgiełk, wszyscy biegną z zapalonemi głowniami i cóż widzą? — dydelfa, (1) który przywabiony zapachem słoniny, wkradł się do obozowiska i nie znalazłszy nic lepszego, pochwycił tłusto nasmarowany słoniną trzewik. Większy przestrach wywołują odwiedziny jaguara, który się czę-

(1) Dydelf—zwierzątko czworonożne, z rzędu workowatych.

sto błąka około obozowiska, na nikogo zresztą nie napadając.

Nie tak jednak bezpiecznie tam, gdzie się można obawiać dzikich ludzi *koroadosów*; przeklęci ci Indjanie, pełzający w nocy, jak węże, zbliżają się do obozu w zamiarze napadnięcia nań, jeżeli upatrzą chwilę stosowną. Są oni bardzo bojaźliwi i obawiają się każdéj jawnej walki; co innego jeżeli się uda napaść niespodzianie, wówczas żadnemu z białych nie przebaczą. To też biali zawsze mają się na baczności, a mianowicie rozpalają ognisko nie w środku swego obozowiska, ale na stronie, tak żeby płomień ich nie oświecał i nie wystawiał na strzały Indjan; we dnie zaś rozkładają ogień jak najdaléj od obozowiska. Zachowując te środki bezpieczeństwa można spać tak spokojnie, jak w twierdzy niezdobytéj.

Dla poszukiwacza dróg wszystko jeszcze idzie dobrze, dopóki pogoda piękna; ale gdy nastąpią deszcze, deszcze zwrotnikowe, wówczas przepędzić noc w obozowisku rzecz zaprawdę niebezpieczna. Deszcz leje jak z cebra; przenika wszędzie, lekki dach szałasu bynajmniéj go nie zatrzymuje, przez ściany jego przelewają się całe potoki, ściekające z gór; ogień gaśnie; wszystko się pokrywa nieprzejrzaną mgłą, którą co chwila przerzyna olśniewające światło błyskawic. Grzmot rozlega się bezustanku, to uderzy rozgłośnym piorunem, to przegrzmiewa budząc oddalone echo, lecz za każdym razem okropny jego trzask, zagłusza wycie wiatru w lesie i szum bystrych potoków.—Bliżéj i daléj, wszędy do koła trzeszczą i skrzypią drzewa, uginając się pod ciężarem wody, nagromadzonéj w gąszczu ich liści, jak niemniéj i na roślinach pasożytnych, stanowiących z niemi całość! Gdzie niegdzie, nieprzeparty huragan, naginając olbrzymy leśne swém śmiertelnem tchnieniem, wyrywa je z ziemi jak źdźbła słomy, i rzuca opodal złamane i zeszpecone. Piękna to zaprawdę duma, pochodząca z samopoznania wartości człowieka, ale i odwaga cię opuści, gdy co chwila zagraża niebezpieczeństwo być zmiażdżonym od padającego drzewa wraz z szałasem i towarzyszami. Trzeba być bardzo zahartowanym, żeby przepędzić jednę, mniéj nawet niebezpieczną noc, siedząc w wodzie, w ciemnym gąszczu, zamierając i drżąc z zimna, i nie mogąc zasnąć po całodziennem zmęczeniu. Dzień po takiéj nocy nie bardzo przyjemny, zwłaszcza jeżeli deszcz nie przestaje lać jak z cebra, ale przynajmniéj można pracować, poruszać się z gorączkową działalnością, by zwalczyć zimno. przenikające wszystkie członki.

Są jeszcze inne niepokoje, inne niebezpieczeństwa. Często wędrowiec staje nad brzegiem głębokiego i bystrego strumienia, wezbranego deszczami. Potrzeba jednak przejść go; jeżeli strumień nie bardzo szeroki, w takim razie wyszukają nad brzegiem jakiego drzewa o wysokim i grubym pniu; rąbią je w ten sposób, żeby wierzchołkiem swym oparło się na przeciwnym brzegu, i po takim to improwizowanym, sękowatym i najeżonym gałęźmi moście, ośmielają się przechodzić strumień. W innych razach urządza się coś w rodzaju tratw, na które niktby wsiąść się nie ośmielił, gdyby konieczność do tego nie zniewolała. Czasem rozlega się rozpaczliwy krzyk, i spostrzegasz jednego ze swych towarzyszy, jak blady i drżący ze strachu, w tył odskakuje; nieszczęśliwy napotkał *jorarakę* żmiję złośliwą i jadowitą, na pięć stóp długą. Zauważywszy zawczasu pierwsze poruszenie gadu, można się jeszcze ocalić odstępując w tył. *Jorarakа* o tyle jest bojaźliwą, o ile niebezpieczną; ucieka natychmiast, a wówczas zabijają ją uderzeniem kija.

Indjanie *burgresy* mniéj są wprawdzie straszni aniżeli joraraka, ale sąsiadować z niemi także nie bardzo bezpiecznie. Razu pewnego, August Wunderwald, oglądając jednę miejscowość, usłyszał tuż koło siebie jakby trzask gałęzi w zaroślach; sądząc, że to był tapir,(1) chciał się o tém przekonać; ale jakkolwiek prędko zbliżył się do zarośli, mniemane zwierze zdołało się ukryć. Wtém słyszy do koła siebie ze wszech stron szczególną kapelę, w któréj rzekłbyś, iż wzięły udział wszystkie zwierzęta czworonożne i ptaki śpiewające. Zdziwiony, zatrzymał się; głosy umilkły; w tém znowu, jakby na komendę, rozległ się ze wszystkich stron straszny ryk, podobny do ryku stada bawołów; następnie znowu, jakby na komendę, ryk ustał, a nastała niezakłócona niczém

(1) Tapir zwierzę wieprzaste, jak wół; opatrzone trąbą.

cisza. Wunderwald zrozumiał wówczas zkim ma do czynienia: wrócił natychmiast do swoich towarzyszy i uzbroił się z nimi oczekując napadu burgresów. Miejsce na nocne obozowisko z wielką wybrali bacznością, na każdym rogu obozu postawili placówki, które od czasu do czasu strzelały, by wzbudzić przestrach w Indjanach, nieprzepartą żywiących obawę broni palnéj. Okropny ryk, dający się słyszeć we dnie, przerywał niejednokrotnie i nocną ciszę, lecz burgresy nie napadali.

Ale Indjanin burgres nie tak jeszcze niebezpieczny, jak głód i zmęczenie zwłaszcza, gdy nieprzewidziane trudności opóźnią podróż, a zapasy żywności zupełnie się wyczerpią. Oto co się przytrafiło podczas pierwszéj wyprawy, którą odbył Wunderwald w r. 1861, w lasach jeszcze nieznanych, w całém tego słowa znaczeniu dziewiczych, rozdzielających kolonje Blumenau i Don-Francisco. Ogromne, prawie nieprzebyte zarośla, bystre rzeki i nieustanny deszcz zatrzymały Wunderwalda dłużéj, aniżeli się spodziewał, a pora roku była taką, że polowanie było prawie niemożliwe, a zresztą i bezowocne. Zapasy zmniejszały się z dniem każdym, a wreszcie zupełnie się wyczerpały. Z całego prowiantu pozostała tylko palmowa kapusta, którą w pierwszych dniach głodu, w braku zakrasy, zaprawiano tłustością, pozostałą od smarowidła na bóty. Wszyscy towarzysze Wunderwalda osłabli, straciwszy siłę i wolę; poszukiwacz dróg zrobił wszystko co mógł, by obudzić w nich energją; widząc jednak, że wszystkie jego usiłowania są bezużyteczne, ile, że towarzysze jego zaledwie ujdą ze sto kroków, wnet padają i zasypiają pomimo deszczu, na przemokłéj ziemi, pozostawił ich na pół martwych, i postanowił udać się po pomoc. Zebrawszy ostatnie siły, dostał się wreszcie, w dziewięć dni po nastąpieniu głodu, do pierwszych domów Don-Francisco, zkąd posłał pomoc umierającym w lesie. Wszyscy zostali ocaleni, ale tak ucierpieli, że każdy z nich nie uniknął mniéj lub więcéj silnéj choroby.

Wątpliwości niema, że w dziewiczym lesie nadzwyczaj trudno obeznać się z miejscowością, trudno się pomiarkować. Żeglarz jest pod tym względem daleko bezpieczniejszy, nawet wśród najobszerniejszych oceanów; dla oznaczenia kierunku posiada on igłę magnesową (wskazującą północ i południe); gdy się jedna złamie, używa drugiéj, tak samo urządzonéj,—zresztą ma niebo, słońce, gwiazdy, dla oznaczenia rzeczywistego miejsca, w którem się znajduje. Poszukiwacz dróg nie ma, oprócz kieszonkowéj bussoli, (1) która często skutkiem sąsiednich rud żelaznych zbacza z prawidłowego kierunku. Jeżeli się zaś ten delikatny instrument zepsuje, złamie lub zatraci z jakiego bądź powodu, to cała wyprawa naraża się na niebezpieczeństwo śmierci, nie wié bowiem, w którą stronę ma się udać, dokąd się skierować. Często całym dniem potrzeba się błąkać w takiéj gęstwinie, że możnaby pomyśleć, iż się idzie podziemnemi korytarzami. Nie widać ani nieba, ani słońca. Aby przejrzeć większą przestrzeń, od téj jaką przedstawia ciasny krąg, ograniczony gałęźmi i pniami drzewnemi, wleźć potrzeba na wzgórze lub skałę, następnie wdrapać się na wierzchołek najwyższego z drzew,—co nie tylko jest rzeczą trudną, ale i niebezpieczną, a i tak nawet, dostawszy się na sam szczyt téj spostrzegalni na prędce zrobionéj, nic czasem dojrzeć nie można, dopóki się nie zrąbią najbliższe drzewa, zasłaniające widok.

Kto się puszcza w las, powinien postępować tak jak to czynią Indjanie, t. j. oznaczać drogę w jakikolwiek sposób, załamując np. gałęzie lub robiąc nacięcia na pniach drzewnych. Nie zachowując tych ostrożności, łatwo się zabłąkać i stracić zupełnie kierunek drogi. Próżnobyś się wówczas starał dowiedzieć, gdzie wschód i zachód, gdzie północ a gdzie południe. Chcesz wrócić na przebytą już drogę, a coraz bardziéj w las się zagłębiasz, mniemasz iść prosto, a krążysz wkoło, albo, jak się to nieraz przytrafia, po kilkugodzinném chodzeniu, nagle zdumiany, znajdujesz się na tém samym miejscu, z któregoś wyszedł. Nie wierzysz swoim oczom, mniemasz żeś igraszką czarów, serce ci bije gwałtownie, idziesz niespokojny, przyśpieszasz kroku i coraz bardziéj brniesz w las, oddalając się od kresu podróży. Czasem tylko dziesięć minut drogi przedziela cię od twego domu, a bie-

(1) Busola-to samo prawie, co igła magnesowa.

gasz jak warjat przez całą dobę; gwiżdżesz, krzyczysz, strzelasz jednym lub dwoma na raz ładunkami, ale huk wystrzałów, krzyk i gwizdanie giną bez śladu w grobowej ciszy leśnéj. Zguba twoja nieuchronna, jeźli się nie nadarzy jaki szczęśliwy wypadek lub niespodziana pomoc, w którą się już wierzyć przestało.

Mścisław Kamiński.

POWRÓT TATY.

Pójdźcie o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
Za miasto pod słup na wzgórek,
Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciorek.
Tata nie wraca: ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze,
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory,
I pełno zbójcow na drodze.
Słysząc to dziatki, biegną wszystkie razem
Za miasto pod słup na wzgórek,
Tam przed cudownym klękają obrazem:
I zaczynają paciorek.
Całują ziemię, potém w imę Ojca,
Syna i Ducha Świętego,
Bądź pochwalona przynajświętsza Trójca
Teraz i czasu wszelkiego.
Potem Ojcze nasz, i Zdrowaś i Wierzę,
Dziesięcioro i Koronki,
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczkę z kieszonki.
I Litanią do Najświętszéj Matki
Starszy brat śpiewa; a z bratem
Najświętsza Matko, przyśpiewują dziatki,
Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!
Wtem słychać turkot, wozy idą drogą,
A wóz znajomy na przodzie;
Skoczyły dzieci, i krzyczą jak mogą:
Tata, ach tata nasz jedzie.
Obaczył kupiec, łzy radosne leje
Z woza na ziemię wylata:
,,Ha! jak się macie? co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do Tata?
Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A to rozynki w koszyku!!
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.
„Ruszajcie, kupiec na sługi zawoła,
Ja z dziećmi pójdę ku miastu.!!
Idzie... aż zbójcy obskoczą do koła,
A zbójców było dwunastu.
Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa,
Noże za pasem, miecz u boku błyska
W ręku ogromna buława.
Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie;
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły
Drżące ku zbójcom wzniósł dłonie.
„Ach! bierzcie wozy, ach! bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo,
Nie róbcie małych sierotami dziatek,
I młodéj małżonki wdową.“
Nie słucha zgraja, ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie, a drugi:
,,Pieniędzy!“ krzyczy i buławą sięga,
Ow z mieczem w pada na sługi.
W tém: „stójcie, stójcie“ krzyknie starszy zbójca,
I spędza bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
,,Idźcie, rzekł, daléj bez trwogi.“
Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
,,Nie dziękuj, wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twej głowie,
Gdyby nie dziatek pacierze.
Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało
Darzą cię życiem i zdrowiem.
Im więc podziękuj za to, co się stało.
A jak się stało opowiem:
Z dawna już słysząc o przejeździe kupca
I ja, i moje kamraty,
Tutaj za miastem przy wzgórku u słupca
Zasiadaliśmy na czaty.
Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrusty,
Modlą się dziatki do Boga,
Słucham, z początku porwał mię śmiech pusty,
A potem litość i trwoga;
Słucham, ojczyste przyszły na myśl strony
Buława upadła z ręki;
Ach! ja mam żonę, i u mojéj żony,
Jest synek taki maleńki.
Kupcze jedź w miasto, ja do lasu muszę,
Wy dziatki na ten pagórek
Biegajcie sobie, i za moją duszę.
Zmówcie też czasem paciorek.“

Adam Mickiewicz.

RÓŻNOŚCI.

NIEBEZPIECZNY NOCLEG.

Pan Bartłomiéj zarządzający znacznemi dobrami w Olkuskiem, zabawiwszy pewnego razu u sąsiada do późna, wracał na swoim dereszu do domu. Noc była nadzwyczaj ciemna, śnieg padając od rana tak pozasypywał drogi, że niepodobna było ich dostrzedz. Spuszczając się na znajomość okolicy i instynkt poczciwego

konia, p. Bartłomiéj przybył aż do strumyka będącego na połowie drogi. Zwykle bardzo płytki, dziś strumyk ten przez bezprzestanne deszcze jesienne wezbrał nadzwyczajnie. P. Bartłomiéj usiłował skłonić deresza do przebycia go, lecz ten, zwykle posłuszny rozkazom, dziś się opierał jego woli a nawet i razom, których z niecierpliwiony jeździec nie szczędził. Przekonawszy się, że przez strumień nie będzie się mógł przeprawić, postanowił gdziekolwiek schronić się przed lecącym płatami śniegiem.

Przyszła mu na myśl cegielnia, którą znał w pobliżu; do niéj się zatem skierował. Po długiem szukaniu natrafił na nią z radością. Szukając po omacku znalazł słupek, do którego z wielkim trudem skostniałemi od zimna rękami uwiązał deresza. Wszedłszy pod dach cegielni, wyjął z kieszeni staroświecki zegarek, który po naciśnięciu właściwéj sprężyny wydzwonił mu północ.

Tak tedy biedny pan Bartłomiéj całą noc przeczekać będzie musiał! Tem się tylko pocieszał, że mając zapałki i fajeczkę, puszczając dymek, jako tako czas przepędzi.

Ale że mróz się wzmagał, nie mógł siedzieć długo na jednem miejscu, by się zbyt nie przeziębić. Zaczął się tedy przechadzać pod dachem, a korzystając z chwili, w któréj śnieg przestał padać, wyjrzał, czy gdzie nie dopatrzy światła, któreby mu wskazało miejsce zamieszkałe przez ludzi. Zaledwie w tym celu uczynił parę kroków, gdy uczuł, że mu gruntu pod nogami zabrakło,—w padł w przepaść.

Minął czas jakiś, nim po nagłym upadku ochłonął trochę z przerażenia, poczem jako człowiek praktyczny, zaczął macać i wprawiać w ruch wszystkie swoje muskuły, dla przekonania się, czy czasem nie nadwyrężył sobie ręki lub nogi. Po odbytém badaniu, gdy się pokazało, że żadnego bólu nie doznaje, p. Bartłomiéj chciał sie dowiedzieć, gdzie go też losy wtrąciły. Ciepło wyższe niż było na dworze, kazało mu się domyślać, że się w znacznéj głębokości znajduje. Obmacawszy wszystkie ściany swojéj klatki, przekonał się, że jest w jakiémś wydrążeniu sklepionem. Nieszczęściem spadając tak niespodzianie, wypuścił z ręki pudełko z zapałkami, które trzymał właśnie dla zapalenia fajeczki; wypadło zatem cierpliwie czekać świtu, ażeby powziąć jakąkolwiek wiadomość o swojém położeniu.

Nawytrzeszczawszy oczu nadaremnie, mruczał sobie na pociechę: ,,Chwała Bogu, żem sobie kości nie połamał: na moje stare lata spaść tak głęboko i nic sobie nie zrobić, to istny cud!... No, panie Bartłomieju, trzeba sobie radzić jak można,-człowiek przy silnéj woli może się przez pół nocy i bez światła obejść.“—

Wtém w przeciwnéj stronie jamy dało się słyszeć niezwyczajne stąpanie, tak jakby kto na bosaka chodził, i ziewnięcie, nie bardzo do ludzkiego podobne, a w téjże chwili zabłysły światełka, iskrzące, prosto w stronę p. Bartłomieja skierowane.

Pan Bartłomiéj uchodził w okolicy za nieustraszonego, jednak nie bardzo miło mu się zrobiło spostrzegłszy to sąsiedztwo:

—,,Awantura cóś się na złe zaczyna obracać—mruczał cofając się do ściany.—Nie bardzo to miły jakiś sąsiad!

Daremnie się pytał: kto tam? nikt mu nie odpowiadał, wyobraźnia zaczęła działać, zdawało mu się, że jakiś potwór się do niego zbliża, to znowu, że widzi głowę ludzką z rogami, jednem słowem, pan Bartłomiéj coraz w większym był strachu, gdy znowu się powtórzyło ziewnięcie.

— „Oho! pokazuje się, że mój towarzysz spał smacznie, żeby mu się tylko nie zachciało moim kosztem śniadania wyprawić, bo toby nie było przyjemnie.“

Na szczęście zaczęło świtać, pan Bartłomiéj poznał z niemałym strachem, że towarzyszem jego był ogromny wilk, który zapewne równie przypadkowo tu się dostał, z tą tylko różnicą że przytulony do ziemi, bardziéj jeszcze wystraszony tym wypadkiem wyglądał, niż pan Bartłomiéj.

Łatwo się domyśleć, że nasi dwaj więźniowie nie bardzo byli skorzy do zabrania ze sobą znajomości. Przypatrywali się sobie nie mówiąc ani słowa.

Rozwidniło się przecie zupełnie i p. Bartłomiéj przekonał się, że wpadł w dół po wybranej glinie, a ściany jego od deszczu oślizłe nie dawały nadziei wydobycia się o swojéj sile z pułapki, do któréj tak nieszczęśliwie się dostał.

Na szczęście nadeszli dwaj robotnicy wysłani dla obejrzenia nadwyrężonego dachu w cegielni, chcąc przed większemi śniegami swoją pracę ukończyć. Pan Bartłomiéj usłyszawszy ludzkie kroki, zaczął wołać o pomoc, a robotnicy zajrzawszy w dół, wykrzyknęli z podziwienia na widok dwóch gości tak niepodobnych do siebie, a w największéj zostających zgodzie.

Pan Bartłomiéj opowiedział im swój wypadek, siedząc jeszcze w dole, a gdy go za pomocą spuszczonego sznura wydobyto, nadchodzący w téj chwili gajowy podał mu fuzję, ażeby strzelił do wilka. Odmówił mu p. Bartłomiéj mówiąc: że nie chce odbierać życia towarzyszowi, który tak grzecznie się z nim przez całą noc obchodził...

Wydobywszy się z więzienia, i podziękowawszy jak należało swoim wybawcom, siedząc już na dereszu, przyrzekał sobie, że nigdy już tak długo w noc nigdzie siedzieć nie będzie. Nazajutrz przybyli do pana Bartłomieja robotnicy—oswobodziciele, ofiarując mu skórę z wilka, którą pan Bartłomiéj na pamiątkę swego szczególnego noclegu, na dywan obrócić myśli. *Z. K.*

HERBATA CHINSKA

przez Dra. Karwackiego.

Jéj użycie i nadużycie, Jak się przygotowuje? i od kąd w Europie jest znaną?

Herbata Chińska listki ma podługowate różnéj wielkości, a to zależy od wcześniejszego lub późniejszego zbierania. Z początkiem Marca, przez Chińczyków zbierane listki herbaty dają najdrobniejszy i najlepszy gatunek ciemno-zielony, zwany *Herbatą cesarską*: w miesiąc późniéj następuje powtórny zbiór herbaty, a na początku Maja ostatni, najmniéj zawierający własności herbacie właściwych. Herbata po zebraniu suszoną bywa nad ogniem wolnym na blachach; przecierają takową rękami, aby się jednostajnie zasuszała i nie przypaliła. Listki przez pocieranie nabierają kształtu wałeczków skręconych.

Herbata już w roku 1678 przez Hollendrów upowszechnioną i używaną w Europie była.

Herbata w swym składzie zawiera pierwiastek lotny i garbnik gorzkawy znacznéj ilości.

Gatunki herbaty i odmiany kolorów są różne, i tak: *Toukai* zielony, *Haysuan* błękitno-zielony, *Thée-bou* żółtawo-zielony, *Peko* czarniawy, *Thée-perlé* szarawo-zielony *Souchang* czerwonawy. Chińczykowie fałszują także Herbatę, z innych roślin biorąc listki, i susząc je, jak się wyżéj powiedziało i skrapiając olejkami lotnemi z roślin, jakiemi są: kwiaty *Chloranthus*, *Olea fragrans*, *Camelia sesangua*, *Jaśmin arabski i Kurkumel*, które woni zupełnie herbacianéj udzielają, i ta to właśnie woń mocna sprawia skutki szkodliwe: to jest zawrót głowy, utratę pamięci, drżenie członków, paraliż a nawet śmierć spowodować może, jeżeli kto pozostaje pod wpływem ciągłego wąchania różnych gatunków wyżéj wymienionych.

Zamiast Herbaty Chińskiéj używają w nalewie wrzącym różne inne liście (jak *Cassine Peragua* w Nowéj Hollandyi, *Capraria biflora*, *Alstonia theaeformis*, *Prinos glaber*, *Rhamnus theaezans*, *Ceanothus americanus*, i t. p). a u nas liściem róży dzikiéj, liściem poziomkowem, miętkwią, melissą i t. p. miejsce herbaty chińskiéj nieraz usiłują ludzie zastąpić.

Herbaty chińskiéj jakiegobądź gatunku używamy w nalewie wrzącym, według upodobania z dodaniem cukru lub bez tegoż, z mlekiem, śmietaną, z sokami różnemi, z winem czerwonem, arakiem lub też z cytryną.

Herbata z małéj ilości lekko naciągnięta daje napój przyjemny, różniący się od wody ciepłéj jedynie wonią,—swym stopniem ciepła na czas krótki żołądek ogrzewa, a w ilości dużéj użyta takowy rozwalnia, do wiatrów usposabia i siłę trawienia osłabia Herbata bardziéj wzbudzający skutek sprawia, jeżeli jest użyta z winem lub arakiem, a w dużéj ilości wszystkie następstwa z opojenia, jak środkami wyskokowemi, powoduje, jak oto: ból głowy, ociężałość, śpiączkę, brak przytomności, rozpalenie całego organizmu, pragnienie, suchość w ustach, brak zupełny apetytu, osłabienie w nogach, drżenie członków i t. p.

Herbata w dużéj ilości wzięta mocno, aż

do czarności naciągnięta, i w dużéj ilości użyta, sprawia tł czenie i ściskanie w żołądku, skutkiem obfitości garbnika zwykle znajdującego się w herbacie. Herbata mocno naciągnięta chociaż będzie najciemniejsza, za dodaniem cytryny wyjaśnia się tworząc osad na dnie naczynia, przez co utraca własność herbacie właściwą.

Herbata na wpół z mlekiem, u osób smutnych (hypochondrycznych) obfitość kwasów żołądkowych sprawia.

Herbata umiarkowanie mocna, z mlekiem lub śmietaną w małéj ilości użyta, lub sama przez się jest napojem zdrowym, wzmacniającym i pokrzepiającym, sprawia apetyt i reguluje niedokładność w trawieniu żołądka.

Herbata jako środek lekarski, rozgrzewając działa w oziębieniu żołądka,—czysta użyta w umiarkowanéj ilości, uspakaja układ nerwowy w drażliwości,—w bólu głowy jest napojem wyborowym. W nadużyciu napojów upajających szczególniéj spirytusowych — działa wytrzeźwiająco.—Herbata równie lekka naparzona i wychłodzona bardzo dobrze skutkuje w zapaleniu oczów, przez napuszczanie jéj w otwarte oczy płateczkiem po kilka razy dziennie.



Kmotr Gabryś

— Kiedy tak już teraz przepadamy za uciechami, toć i mnie nie wadzi, że sobie, panie-tego, pożartuję, jak się da... A choć mi w wsklepiku z moją Bonifasią coraz gorzéj idzie, to cóż? albo ja to pierwszy taki. Teraz bankrutować tak w modzie,—i zarywać drugich na swoje uciechy, to taka dziś mądrość wielka!—bo odczegóż mamy żołądek i gardło. A dusza?.. ba! teraz więcéj dbają o duszę w żelazku do prasowania niż o swoją własną... No, ale co tam! ja państwu powiém o takiém zdarzeniu:

— Jeden magnat—niemiecki wyprawiał w swym pałacu urodziny córki jedynaczki. Nauczyciel wiejski ze swojmi uczniami był ustawiony w bocznym pokoju, i dostał takie przykazanie: że jak tylko usłyszy brzęk kieliszków, naturalnie, przy piciu zdrowia, to ma zawołać: „I naszego łaskawego pana także! i naszą łaskawą panią także! i naszego wójta także!“

Otóż, panie-tego, obiad już był na dokończeniu, i lokaj szedł na salę z kredensu z kieliszkami do szampańskiego wina, w tém się potknął, kieliszki spadły na ziemię, a pan krzyknął: „Bodaj cię djabli porwali!“ Nauczyciel, który, panie tego usłyszał, jak brzękły kieliszki, zawrzasnął całém gardłem ze swymi uczniami: „I naszego łaskawego pana także! i naszą łaskawą panią także! i naszego pana Wójta także!

—A oto jeszcze cóś powiem w dodatku. Jeden lekarz miał syna, co ukończył akademiję i wyjechał w dalszą okolicę, gdzie stale osiadł i zaraz znalazł niezłą praktykę. Po upływie niespełna trzech lat ojciec odwiedził syna i towarzyszył mu przy objeździe jego chorych po okolicy. W téj podróży przejeżdżali około dwóch cmentarzy, a syn rzekł ojcu, że obadwa zostały dopiero za jego bytności wysypane i że jego praktyka rozciąga się szeroko za miastem na wiele wiosek.—Ojciec powrócił do domu, a jego żona zaczęła się wypytywać: „Jakże się tam naszemu synowi wiedzie?“—„Ho, ho! doskonałe robi interesa!“ rzekł ojciec bardzo zadowolony. „Jeden cmentarz już całkiem zapełnił, a i na drugim już leży wielu, nie rachując w to jego chorych, którzy po wioskach pochowani zostali!—

— A jeszcze opowiem państwa, o owym mędrcu Sokratesie. Otóż przyjaciele namawiali go, aby się, panie-tego zemścił na jednym uliczniku, który go uderzył kamieniem.

— A to na co! rzekł—jeżeliby koń wierzgnął i którego z was uderzył, czyż mielibyście chęć go zapozywać, lub zaprowadzić do policji?“

Zagadka.

Białe jak mąka—nie mąka, ogon ma jak mysz a nie mysz?—

Przeszła zagadka: *Dynia* albo *Arbuz.*

Sprostowanie. W przeszłym numerze na pierwszéj stronie w drugiéj połowie w wierszu 2 od końca opuszczono Cesarz (chrześciański) i t. d.) a na ostatniéj stronie w *Myśli* powinno być w 2 i 3 wierszu: dopomogą.

Redaktor i Wydawca Józef Grajnert, pod Nr. 24 (nowym) ulica Nowy Swiat.— W druk. I. Krokoszyńskiego.—
Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.